TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR, CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........ $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 6. Chicago, Ill., Czwartek, 10-go Lutego, 1898. Rok XII.

Ksiażę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Zawinął rękawy, plunął w kułaki i zaczął oblewać każdego, kto mu popadł, czy to był winny, czy nie. Znajdujący się bliżej drągala w mgnieniu oka popadali, ciągnąc za sobą towarzyszy. Całą kupą zaczęli się pchać ku ogniu; kocioł upadł, a zupa wylała się na węgle.

— Cicho! cicho szatanie! Coś się rozbrykał! Mówią ci, ciszej! — krzyczeli rozbójnicy.

Ale drągal już na nic nie zważał, to w prawo, to w lewo waląc kułakami. Za każdem uderzeniem padał rozbójnik a nieraz i dwóch.

— To ci niedźwiedź — wołali szczęśliwcy, którym się udało odskoczyć w bok.

Wreszcie drągal się wstrzymał, przestał bić; stanął pośród przewalonych i rozbitych garnków, po głowie się głaskał niby chcący powiedzieć:

— Co też to ja naprawdę narobiłem!

— No, bratku — mówili wstając rozbójnicy a żebra swoje rozcierając — gdybyś i wtedy chciał być złym, nie odbili by ci baby! Widzisz go!

— A jak cię zuchu nazywają, spytał stary Jastrząb.

— A Mitka.

— Oj Mitka! Oj ten Mitka!

— To ci Mitka!

Tu wbiegł któryś opryszek.

— Dzieci! — krzyknął — ataman znów

zaczął opowiadać o swem życiu na Wołdze. Wszyscy przestali śpiewać i słuchać baśni, siedząc około atamana. Pójdźmy prędzej, bo miejsca nie znajdziemy!

— Pójdźmy! pójdźmy słuchać atamana — rozległo się między rozbójnikami.

Na ściętym pniu, pod konarami rozłożystego dębu siedział dziarski chłop średniego wzrostu, w bogatym żupanie złotem wyszywanym. Głowę mu przykrywała misiurka, albo żelazna okrągła czapeczka. Z misiurką łączyła się druciana siatka, strzegąca tył głowy i uszy od uderzeń szablicy. W ręku trzymał czekan zaostrzony z tyłu i na toporzysku osadzony. W tym stroju trudnoby było poznać naszego starego znajomego, Waniuchę Pierścienia. Oczy mu latały na wsze strony. Z pod krótkich czarnych wąsów błyszczały tak śnieżnej białości zęby, że zdawało się, jakoby opromieniały całą twarz jego.

Rozbójnicy słuchali z natężoną uwagą.

— Tak, moje chłopcy — mówił Pierścień — to nie sztuka zatrzymać obóz lub ograbić bojarzyna, gdy was dziesięciu na jednego. Ale byłoby na co patrzeć, jakby jeden zatrzymał i ograbił tak z pięćdziesiątkę i więcej.

— Ot, powiedział! — odezwali się rozbójnicy — nie wiele mu się zachciało. A może ty zatrzymasz?!

— Nie o mnie tu mowa — ja znam zucha, który sam jeden obozom dawał radę.

— Czy znów czasami nie twój bohatyr z Wołgi?

— A któżby inny, jak nie on!

— Wola twoja atamanie, mówisz o nim jak o cudzie jakim, a nam się wierzyć nie chce. Już dzielniejszego od ciebie nie widzieliśmy.

— Nie widzieliście dzielniejszego ode mnie, to coście głupcy widzieli? A wiecie mówił dalej Pierścień — wiecie że ja wobec niego śmieć! — Śmieć po prostu, nic więcej!

— A jakżeż się nazywa twój bohatyr?

— Nazywa się, bracia, Jermak Timofeicz.

— Widzisz go jakie imię! Cóż to on za jeden? bez towarzyszy żyje?

— Nie, nie jeden. Ma on towarzyszy dobrych i wiernych, lecz rozgniewał się na nich car prawosławny. Posłał na Wołgę swą drużynę, by ich rozbić, a jednemu esaulikowi [1]) kazał Iwanowi Koleo głowę ściąć i do Moskwy przynieść.

— Ha, złapali go?

— Złapali Koleo carscy ludzie, lecz przeleciało im między palcami i posunęło się hen po tym świecie. Gdzie on teraz, Bóg wie, ale ja myślę, że znów na Wołgę powróci. Kto raz był na Wołdze, ten nie przyzwyczai się do innych stron.

Tu ataman przestał i zadumał się. Zadumali się i rozbójnicy. Spuścili bujne głowy na wysokie piersi, pokręcali w milczeniu sumiastego wąsa i głaskali brody rozczochrane. O czem dumali dzielne chłopy siedząc na polanie wśród boru sędziwego? Czy o straconej młodości, jako byli uczciwymi żołnierzami i cichymi mieszkańcami siół i wiosek? czy o matce Wołdze srebrzystej? czy o cudownym bohatyrze, o którym opowiadał Pierścień, czy o dwóch słupach w szczerem stojących polu, o których, w chwilach tęsknoty, nieraz dumała głowa takich, jak oni, rycerzy?

— Atamanie — krzyknął nagle zdyszany opryszek, który w tej chwili wpadł na polanę — o jakie pięć wiorst ztąd, na drodze Riazańskiej, pędzi ze dwudziestu ludzi; wszyscy w złotych kaftanach. Rumaki, wart każdy sto czerwieńców i więcej!

— Dokąd jadą? spytał Pierścień, porwawszy się na nogi.

— Tylko co skręcili ku Djablej Kałuży. Jakem ich ujrzał, przyleciałem tu prosto przez las i błoto!

— No, chłopy — krzyknął Pierścień — dwudziestu za mną!

— Ty, Jastrzębiu — mówił dalej zwracając się do starego opryszka — weź dwudziestu drugich i zaczaj się u krzywego dębu. Odetniecie im odwrót, jeżeli my się spóźnimy! Dalej! żywo za szable!

Tu Pierścień wstrząsnął czekanem nad głową, oczy mu się zaiskrzyły. Podobnym był do groźnego wodza, dającego rozkazy przywykłym do rygoru wojskowego żołnierzom. Z dawnej poufałości z rozbójnikami nie było ani śladu.

---

1) Wódz. (P. T.)

W mgnieniu oka czterdziestu opryszków, odłączywszy się od grona towarzyszy, uformowało dwa oddziały.

— Hej Mitka — rzekł Jastrząb do drągala z pod Kołomny — masz i ty kijek! chodź z nami, może się na którego z obcych pogniewasz.

Mitka zrobił głupią minę, wziął z flegmą z rąk starego okropną maczugę, zarzucił ją na plecy i poczłapał noga za nogą za swym oddziałem do krzywego dębu.

Drugi oddział pod przewództwem Pierścienia podążał ku Djablej Kałuży, na spotkanie nieznanych jeźdźców.

XIV.

Policzek.

Podczas gdy Maluta i Chomiak w towarzystwie opryczników pędzili z tajemniczym jeźdźcem do Djablej Kałuży, Srebrny prowadził wesołą biesiadę z Godunowem, przy stole zastawionym puharami i winem.

— Powiedz, Borysie Fedorowiczu — mówił Srebrny — co się stało dzisiaj z carem. Dla czego o północy cała Słoboda była na nogach. A może u was to się zdarza często?

Godunow wzruszył ramionami.

— Wielki car nasz — rzekł — często się modli za dusze swych złoczyńców. A że nas woła na modlitwy w nocy, temu się nie ma co dziwić. Wszak sam Bazyli Wielki w liście do Grzegorza Nazyańskiego powiada:

"Wśród nocnej ciszy, kiedy ani uszy, ani oczy nie są usposobione do złego, przystoi myśli twojej przestawać z Bogiem."

— Borysie Fedorowiczu, zdarzało mi się i dawniej widywać, jak car się modlił, ale to było nie w ten sposób. Wszystko teraz inaczej. Z opryczników tego nic nie rozumiem. To nie zakonnicy, ale rozbójnicy! Parę dni przecie dopiero jak przyjechałem do ojczyzny, a tyle już o nich nasłyszałem się i sam widziałem strasznych rzeczy, że aż wierzyć się nie chce. Widać opętali cara. Otóż ty, Borysie Fedorowiczu, on ciebie bardzo lubi, możebyś mu wytłómaczył, że oprycznictwo gubi kraj cały!

Godunow uśmiechnął się z prostoty Srebrnego.

— Car miłościwym jest dla wszystkich — rzekł z udaną skromnością — więc i dla mnie także, choć na to nie zasłużyłam. Ale ja nie mogę sądzić o sprawach carskich, nie mogę dawać mu wskazówek. Oprycznictwo zaś zrozumieć nie trudno: Cała ziemia carska, wszyscy my jesteśmy w jego carskim ręku; co weźmie car dla siebie — to jego, co nam zostawi — to nasze. Komu każe być koło siebie — ci są blizko niego, a komu nie — ci są daleko. Ot i oprycznictwo!

— Tak, Borysie Fedorowiczu, tak jak ty mówisz — to niby dobrze, a w samej rzeczy wszystko jest inaczej. Opryczniсy gubią i niszczą chłopów gorzej jeszcze niźli tatary. Nie masz na nich sądu. Cała ziemia przez nich niszczeje. Powiedziałbyś o tem carowi, on by cię posłuchał.

— Kniaziu Nikito Romanowiczu! wiele się dzieje złego na świecie. Nie dla tego ludzie grabią ludzi, że jedni są opryczникami, a drudzy ziemianami, jeno dla tego że i jedni i drudzy są ludźmi. Przypuśćmy, że jabym powiedział carowi, cóż z tego wynika? Wszyscy pójdą przeciw mnie, car się rozgniewa.

— To i cóż — trudno! za to ty postąpiłbyś według rady sumienia, wypowiedziałbyś mu prawdę.

— Nikito Romanowiczu! prawdę powiedzieć, to nie długo, ale mówić trzeba z rozumem. Gdybym zaczął działać naprzeciw carowi, dawnoby mnie już tutaj nie było, a jakby mnie nie było, ktoby cię był wczoraj od topora uratował?

— Co prawda, to prawda, Borysie Fedorowiczu, daj ci Boże zdrowie, przepadłbym ja był, żeby nie ty.

Godunowowi się zdało, że przekonał księcia.

— Widzisz Nikito Romanowiczu — mówił dalej — dobrze jest obstawać za prawdą, ale — jeden w polu nie wojewoda. — Cobyś też zrobił naprzykład, gdyby tak ze czterdziestu zbójców zaczęło rznąć przy tobie niewinnego?

— Co bym zrobił?... wpadłbym z szablą na nich czterdziestu i rąbałbym, dopókibym sam Bogu duszy nie oddał.

Godunow ze zdziwieniem spojrzał na księcia.

— I oddałbyś ją przy piątym, a najwyżej przy dziesiątym zbóju, a reszta i takby zarznęła niewinnego. Nie, kniaziu, lepiej ich nie ruszać; ale jak zaczną obdzierać zabitego wtedy krzyknąć, że, dajmy na to, Waśka bierze więcej od Janki!.... to oni sami siebie pozarzynają.

Srebrnemu nie podobało się takie twierdzenie; Godunow to zauważył i zaczął o czem innem.

— Widzisz — rzekł patrząc w okno — kto tam pędzi tak szalenie? — zdaje się, że to twój strzemienny.

— Chyba nie — odparł Srebrny — pozwoliłem mu dzisiaj jechać aż o dwadzieścia wiorst ztąd do cerkwi.

Lecz wpatrzywszy się lepiej w jeźdźca, książę się przekonał, że to rzeczywiście Micheicz. Stary był blady jak śmierć; siedział na oklep i zdawało się, że wskoczył na pierwszego lepszego konia, który mu wpadł pod rękę. Zatrzymał się aż przed samemi czerwonemi oknami.

— Batiuszka, Nikita Romanowicz — krzyczał jeszcze zdaleka — ty pijesz, jesz, chłodzisz się, a o nieszczęściu nic nie wiesz. Tylko co spotkałem tam za cerkwią Malutę Skuratowa i Chomiaka; obaj konno, a między nimi ze związanemi rękoma — kto? czy zgadłbyś? Sam carewicz, sam carewicz, kniaziu! Zarzucili na niego baszłyk czarny, przeklęci! Lecz wiatr wionął baszłykiem a ja poznałem carewicza! Spojrzał na mnie, jak gdyby o ratunek prosił, a Maluta, kura go rodziła, zaraz baszłykiem mu twarz okręcił!

Srebrny skoczył na równe nogi.

— Słyszysz, słyszysz, Borysie Fedorowiczu - krzyknął z zaiskrzonemi oczyma — czy czekać, aż zbóje pokłócą się ze sobą?

I zbiegł z ganku.

— Dawaj konia — krzyczał, wyrywając uzdę z rąk Micheicza.

— Ale ten — opierał się stary — ten koń nie dla ciebie, batiuszka — to koń zły... siodła nawet nie ma... ale wreszcie jak można na takiej szkapie do cara jechać!

Kniaź zaś już wskoczył i poleciał nie do cara, lecz w pogoń za Malutą.

Zapomniał Srebrny że nie ma szabli ni pistoletów, nie zważał, że koń pod nim stary.

A był to swego czasu dzielny rumak, wysłużył lat przeszło dwadzieścia na wojnie, — nie wysłużył sobie spokoju na starość — wysłużył uprząż do wożenia wody, zgniłe ziarno i uderzenia kijem po grzbiecie!

Teraz poczuł na sobie chrobrego jeźdźca, — przypomniał te dawne czasy, gdy podczas bitew nosił bohatyrów, gdy go karmiono wybornem ziarnem i tłustym obrokiem pojono, — wzdął czerwone nozdrza i wyciągnął szyję, i jak wicher puścił się w pogoń za Malutą Skuratowem.

Pędzi Maluta lasem odwiecznym ze swymi opryczników, spieszy się do Djablej Kałuży, poprawia baszłyk na carewiczu, żeby nie wiedzieli opryczników kogo wiozą na śmierć. Jakby się dowiedzieli, uciekliby wszyscy od Maluty. Ale myślą opryczników, że jedzie zwykły śmiertelnik, dziwią się tylko, że wozić go mają tak daleko.

Krzyczy Maluta na opryczników, pogania konie i bije batem:

— Nuże worki trawy, no, wilcza potrawo! — Bo się car rozmyśli i pogoń za nami wyśle!

Pędzi zbrodniarz Maluta sędziwym borem, patrzą na niego ptaszyny i wyciągają szyjki, lecą nad nim czarne kruki, — już blizko Djabla Kałuża.

— Hej — rzecze Maluta do Chomiaka — zdaje się, że słychać za nami cudze podkowy.

— Nie — odpiera Chomiak — to tętent naszych koni rozlega się po lesie.

I więcej jeszcze Maluta krzyczy na opryczników, i częściej smaga konie.

— Hej — mówi znów do Chomiaka — zdaje się, że krzyczą za nami.

— Nie — odpowiada Chomiak — to się rozlega echo naszej rozmowy.

Maluta znów krzyczy, znów wali konie.

— Stój, Gregorij Łukjanycz! — krzyknął nagle Srebrny za plecami Skuratowa.

Nie zdradził kniazia stary koń od wożenia wody.

— Mój Maluto! — powtórzył Srebrny —

i wyrznął go w twarz silną ręką.

Dzielne było uderzenie Nikity Romanowicza. Zdawało się, że ktoś huknął z fuzyi: zaszumiał bór sędziwy, posypały się liście i zwierzęta co sił jęły uciekać w gęstwinę; z dziupli powylatywały sowy, a chłopi, którzy daleko od miejsca wypadku darli z drzew łyko, spojrzeli po sobie ze zdumieniem, mówiąc:

— Słyszysz, bracie, jak trzasło; czy nie runął dąb stary z nad Djablej Kałuży?

Maluta gruchnął na ziemię. Biedne konisko Nikity Romanowicza potknęło się, padło i wyzionęło ducha.

— Maluto! — krzyknął książę, skoczywszy na równe nogi. — Nie do swego kąska się zabierasz! Tym kąskiem się udławisz.

Tu wyrwał nagle Malucie szablę z pochwy i zamierzył się, by go ciąć po łbie.

W tej chwili druga szabla błysnęła nad głową kniazia. Chomiak przybył na pomoc swemu panu. Wszczęła się walka między Chomiakiem i Srebrnym. Opryczniey dobyli szabel i wpadli na księcia, lecz drzewa im przeszkodziły otoczyć go od razu.

— Podła rzecz! — myślał książę odbijając uderzenia — trzeba będzie życie oddać nie uratowawszy carewicza. Gdyby Bóg pozwolił utrzymać się jeszcze z pół godzinki, możeby nadeszła zkąd jaka pomoc.

Nagle, niby w odpowiedzi na myśl jego, rozległo się w lesie przeraźliwe świśnięcie, a potem głośne krzyki. Opryeznik, który był się już zamierzył na księcia szablicą, zwalił mu się pod nogi z rozpłatanym czerepem, a nad trupem wywijał zakrwawionym toporem Waniucha Pierścień. W jednej chwili rozbójnicy, jak stado wilków, wpadli na opryczników; zawrzała bitwa straszna na śmierć i życie. Chciał Maluta ze swymi całą masą wlecieć na wrogów, ale drzewa temu przeszkodziły. Wielu opryczników padło na miejscu, reszta krzyknąwszy hej-da! przedarła się przez opryszków. Pierścień, zraniony w rękę, słabiej już wywijał czekanem.

Znowu rozległ się świst w lesie.

— Hola dzieci! — krzyknął Pierścień — to dziadzio Jastrząb idzie na przykładkę.

Nie skończył jeszcze — gdy Jastrząb ze swoim oddziałem uderzył na opryczników — a walka między nimi wszczęła się jeszcze okrutniejsza.

Jeźdźcy nie mogli ustać w lesie przeciwko pieszym. Konie stawały dęba, padały w tył i przygniatały opryczników, którzy postanowili bić się do ostatniej kropli krwi. Szabla Chomiaka świszczała jak wicher.

Wtem wśród ogólnej walki zrobił się popłoch. Olbrzymi Mitka cisnął się przez walczących i lazł prosto na Chomiaka. Mitka poznał tego, kto mu porwał kobietę. Schwyciwszy buławę oburącz, cisnął nią w swego przeciwnika. Chomiak wykręcił się i uniknął ciosu; maczuga trafiła w sam łeb koński -- szkapa odrazu kopytami się nakryła, a buława padła przełamana na dwoje.

— Poczekajno — mówił Mitka gniotąc Chomiaka — teraz nie ujdziesz.

Skończyła się bitwa. Wszyscy opryczniey leżeli martwi, jeden Maluta uciekł na dzielnym bachmacie.

Zaczęli rozbójnicy liczyć swoich. I oni się wielu niedoliczyli.

— Oto gdzieśmy się, bojarze, spotkali — rzekł Pierścień, podchodząc do Srebrnego i ocierając pot z twarzy.

Książę przy pierwszem uderzeniu opryszków pobiegł do carewicza i odprowadził konia jego w bok. Carewicz był przywiązany do siodła, więc Srebrny szablą rozciął sznury, pomógł mu zejść i odwiązał chustkę, którą twarz jego była skrępowana. Przez cały ciąg bitwy Srebrny nie odchodził od carewicza i zasłaniał go sobą.

— Carewiczu — rzekł, widząc, że opryszki już się zabierają do obdzierania trupów i łapania rozbieganych koni — bitwa skończona, wszyscy twoi wrogowie polegli, Maluta jeno uciekł, ale ja myślę, że się nie ukryje, jak car każe go odszukać!

Usłyszawszy imię — carewicz, — Pierścień cofnął się w tył.

— Jakto? — spytał zdumiony — to sam carewicz, carski syn? To za niego Bóg kazał nam bić się! To ci opętańcy carewicza związanego wieźli!

Tu ataman padł do nóg Janowi Iwanowiczowi.

Wiadomość o obecności carewicza w jednej chwili rozniosła się między rozbójnikami.

Wszyscy przestali wywracać kieszenie trupów, a przyszli bić mu czołem.

— Bóg wam zapłać — dobrzy ludzie — rzekł, dziękując bez zwykłego nadętego tonu carewicz — ktokolwiek jesteście, Bóg wam zapłać!

— Nie warciśmy tego, carze — odpowiedział Pierścień — gdybym wiedział, że to ciebie wiozą, przyprowadziłbym ze sobą nie czterdziestu zuchów, ale ze dwie setki i nie uciekłby wtedy od nas ten Skurłatycz; żywego byśmy przy tobie powiesili. Wreszcie mamy tu, zdaje się, jego strzemiennego, to mój stary znajomy, a na bezrybiu i rak ryba. Hej, chłopcze ty go masz?

— Mam — odrzekł Mitka, leżąc na brzuchu i nie wypuszczając z pod siebie ofiary.

— Dawaj go tutaj, nie bój się, nie ucieknie! A wy, zuchy, rozłóżcie no ogieńku trochę i przygotujcie sznur a nie to łyka nadrzyjcie!

Mitka wstał. Z pod niego wylazł tęgi chłop, ale jak tylko odwrócił się twarzą do rozbójników, ci krzyknęli w zdumieniu:

— Chłopko! toć to Chłopko! to on Chłopka gniótł zamiast opryczników.

Mitka rozdziawił gębę.

Chłopko ledwie dyszał.

— A! powiedział w końcu Mitka, to ja widać ciebie przygniotłem. Dla czego żeś się nie odezwał!

— Jakże chciałeś żebym gadał, kiedyś mi na gardle siedział, ty krowo morska! tfu!

— A dla czegoś wleciał podemnie?

— Dla czego, dla czego? Jakeś niedźwiedziu uderzył konia w łeb, jeździec zsunął się na mnie, a ty bałwanie zamiast jego, nuże mnie dusić, głupia bestyo!

— Aa! — Mitka pogłaskał się po głowie.

Rozbójnicy ryknęli głośnym śmiechem. Sam carewicz się uśmiechnął. Chomiaka nigdzie nie można było znaleść.

— Trudna rada — rzekł Pierścień — widać, że jeszcze nie nastała dla niego ostatnia godzina — a szkoda! No, da Bóg, na drugi raz nie wymknie się! A teraz pozwól, carze, że cię przeprowadzę do drogi ze swymi zuchami. Wstyd mi, carze, nie śmiałbym nawet mówić z twą carską osobą, ale bezemnie byś się ztąd nie wydostał.

— No, chłopcy — mówił dalej Pierścień — ochraniajcie jego carską miłość. Ty bojarzynie — zwrócił się do Srebrnego — siadłbyś na tego konia, ja sobie wezmę choć tego. Tobie, dziadziu Jastrzębiu, zręczniej będzie pieszo; Mitka pewno tak samo.

— Nie — zaprzeczył Mitka, schwyciwszy za grzywę konia, który ztąd aż się na bok przechylił — i ja siądę.

Tu podniósł nogę do strzemienia, lecz nie mogąc w nie trafić, uwalił się brzuchem na konia i przejechał w ten sposób kilkanaście kroków, za czem ledwie się wgramolił na siodło.

— Echwa! — krzyknął ucieszony, fajtając nogami, łokcie zadarłszy do góry.

Wszyscy otoczyli carewicza i puścili się w drogę ku Słobodzie.

Gdy w oddaleniu pokazało się między drzewami pole, a dalej dachy Aleksandrowskie, Pierścień zeskoczył z konia.

— Carewiczu — rzekł — oto twoja droga, widać carski dworzec. Nie przystoi nam dłużej zostawać z twą carską osobą. Oprócz tego widać tam kurz na drodze, pewnie jedzie twoja drużyna. Przebacz, carewiczu i nie gniewaj się, że mimowoli Bóg pozwolił nam się spotkać.

— Poczekaj zuchu — odezwał się na to carewicz, któremu po przejściu niebezpieczeństwa wrócił dawny ton mowy — poczekaj! powiedz mi najprzód, jakiego jesteś bojarskiego rodu, że nosisz złocony żupan?

— Carewiczu — odparł skromnie Pierścień — wielu jest tutaj kniaziów, bojarów bez imienia — nazwiska. Nosimy co Bóg posłał.

— A czy wiesz — mówił dalej groźnie carewicz — że dla takich kniaziów jak ty stoją na placu wysokie słupy, i że sam nie wart jesteś swego żupana? Gdyby nie to, żeś mi dzisiaj życie uratował, kazałbym swej drużynie wszystkich was połapać i do Słobody odprowadzić, ale za dzisiejszą usługę obiecuję ci, że powiem batiuszce-carowi dobre słowo za tobą, gdy przyjdziesz prosić przebaczenia za twe rozboje.

— Bóg ci zapłać za twą dobroć, carewiczu, bardzo ci jestem za nią wdzięczny; ale jeszcze nie nastał czas dla mnie prosić cara o przebaczenie; wielkie są moje grzechy przed Bogiem, wielka wina przed ca-

rem; nie wiem, czy mi przebaczy, a choćby i przebaczył, nie wypada porzucić towarzyszy!

— Jakto! — spytał zdziwiony carewicz — nie chcesz porzucić grabieży, kiedy sam nawet obiecuję ci swoje wstawiennictwo? Widać, że rozbijać na gościńcu przyjemniej niż żyć uczciwie!

Pierścień pogłaskał swą czarną brodę i w chytrym uśmiechu pokazał dwa rzędy białych, jakby wilczych zębów, od których ogorzała twarz jego wydała się jeszcze smaglejszą.

— Carewiczu — rzekł na to szczupak w morzu, żeby karaś nie drzemał. Nie będzie ze mnie ni żołnierz, ni kupiec. Żegnaj, carewiczu, trzeba nazad, twoi się zbliżają. Ryba szuka — gdzie głębiej, nasz brat — gdzie miejsce pewniejsze.

Pierścień zniknął w krzach, uprowadzając za sobą konia, a carewicz i Srebrny wkrótce się połączyli z oddziałem konnicy pod Borysem Godunowem.

Jak zaś Maluta wytłómaczył się przed carem, nikt nie wie.

Być może Jan, po uspokojeniu się swego podejrzliwego umysłu, przypisał postępek ulubieńca zbytniej jego gorliwości; być może miał jeszcze w podejrzeniu carewicza. Bądź co bądź Skuratow nietylko że nie utracił łaski carskiej, ale odtąd stał się prawie niezbędnym towarzyszem i doradcą Jana. Dotychczas tylko Ruś nienawidziła Maluty, teraz zaczął go nienawidzić i Jan carewicz. Car Iwan był jedynym opiekunem Maluty. Ogólna nienawiść była poręczeniem jego wierności wobec Iwana Wasiljewicza. Napomknienie o Basmanowie także darmo nie przeszło. W sercu Jana pozostał zarodek podejrzenia, i chociaż nie odrazu puścił korzenie, jednakże znacznie zmniejszył zaufanie jego ku swemu krajczeniu, bo car nigdy nie przebaczał temu, kogo się raz obawiał, chociażby później uznał tę obawę za zbyteczną.

———

XV.

Obrzęd pocałunkowy.

Czas już powrócić do Morozowa. Zakłopotanie Heleny w obecności Srebrnego nie uszło uwagi przenikliwego bojara. Prawda, z początku myślał, że przyczyną tego wszystkiego jest spotkanie z Wiaziemskim, ale później nowe podejrzenie powstało w sercu jego.

Pożegnawszy się z księciem, Morozow wrócił do pokoju. Spuszczone włosy mu się najeżyły i głębokie zmarszczki zorały czoło. Było mu duszno; zdawało mu się, że ma gorączkę. "Helena teraz śpi," pomyślał, "nie będzie na mnie czekała, przejdę się po ogrodzie, może trochę odświeżę sobie skronie."

Morozow wyszedł. W ogrodzie było ciemno. Podchodząc do ogrodzenia, dostrzegł w cieniu białe pasmo. Zaczął się wpatrywać.

Nagle w uszy jego odbiły się miłosne słowa. Poznał głos żony. Gwiazdami obsypane niebo pozwalało rozróżnić za ogrodzeniem kontur jeźdźca. Nieznajomy nachylił się do Heleny i coś jej mówił.

Morozow zatrzymał oddech, lecz wietrzyk poruszył liśćmi drzew, nie dając mu nic usłyszeć. Któż był owym nieznajomym? Czyż Wiaziemskij przez swoje natręctwo ujął w końcu Helenę? Zagadkowem jest serce kobiece! Dzisiaj mu się podoba to, do czego wczoraj czuło wstręt. A może Srebrny naznaczył schadzkę jego żonie? Kto wie? Być może książę, którego on przyjął jak syna, tak krwawo obraził go tego samego dnia jeszcze, jego, najlepszego druha ojca księcia, jego, który był gotów na wszelkie niebezpieczeństwa, by ukryć Srebrnego od carskiego gniewu.

"Ale nie," pomyślał Morozow, "to nie Srebrny! To jakiś opricznik, nowy ulubieniec carski. Dla nich to nie nowość znieważyć bojara. A żona, podła żmija! Czyż jej nie kochałem jak córkę? Czyż nie sama, z własnej woli za mnie wyszła? Nie dziękowałaż mi, chytra! Nie przysięgała być wierną! Nie! nie miej ufności Drużyno Andrejewiczu w wierność kobiecą. Wierność kobieca — to wieża wysoka, drzwi dębowe, a zasuwy żelazne! Pospieszyłeś się Drużyno Andreiczu z powierzeniem dziewce swego honoru! Opętało cię, stary, serce gorące! Okpiła cię żona, młoda żmija! będą się śmiali z ciebie ludzie moskiewscy!"

Morozow nie mógł rozpoznać ani twarzy, ani głosu nieznajomego. Usłyszał tylko, jak bojarka mówiła doń we łzach:

"Kocham cię nad życie, nad słonko czerwone. Nikogo oprócz ciebie nie kochałam, kochać nie mogę i nie będę!"

Wkrótce Helena, nie dostrzegłszy Morozowa, przeszła koło niego. Wolnym krokiem podążył za nią Drużyna Andrejewicz.

Nazajutrz nie dał nic poznać po sobie, że podejrzywa w czemkolwiek Helenę.

W cztery dni po złapaniu żony na gorącym uczynku, Morozow siedział w kamiennej izbie przy dębowym stole, na którym leżała otworzona księga, w oprawie z czarnego aksamitu ze srebrnemi klamrami. Ale bojar nie myślał o czytaniu. Rzucał oczami po pstrych nagłówkach i deseniach stronnic, a myśl błądziła od świetlicy Heleny do ogrodzenia sadu.

W wilię dnia tego Srebrny wrócił ze Słobody i według przyrzeczenia, odwiedził Morozowa. Helena udała chorą i nie pokazała się wcale. Morozow w niczem nie zmienił obejścia z Nikitą Romanowiczem. Ale winszując mu szczęśliwego powrotu i należycie podejmując drogiego gościa, ustawicznie śledził wyraz twarzy Srebrnego i starał się wyczytać z niej swój domysł.

Srebrny był zamyślony, lecz szczery i otwarty jak dawniej. Morozow nic nie mógł rozpoznać.

Oto czem miał bojarzyn myśli zaprzątnięte, siedząc nad otwartą księgą.

Przerwał mu wchodzący sługa, który ujrzawszy zachmurzone oblicze swego pana, zatrzymał się z uszanowaniem.

Morozow spytał go wzrokiem.

— Bojarze — rzekł służący — jadą carscy ludzie; na przodzie kniaź Afanasij Wiaziemskij i już są blisko, czy pozwolisz im zajechać?

W tej chwili dał się słyszeć jęk bębna, o który walił skórzaną pałką idący na przodzie chłop (czeladnik), by rozpędzić naród i dać wolną drogę swemu panu.

— Wiaziemskij jedzie do mnie? — spytał Morozow. — Co, czy on zwaryował? Może też on tylko koło nas przejeżdża? Idź do kołowrotu i czekaj, a jeśli skręci tutaj, powiedz, że mój dom nie zajazd, że opryczników nie znam. Idź!

Sługa się wahał.

— Czego jeszcze? — spytał znów Morozow.

— Bojarze, twoja wola nademną, ale ja tego nie powiem Wiaziemskiemu.

— Idź! — wrzasnął Morozow, tupnąwszy nogą.

— Bojarze — wpadł nagle klucznik — kniaź Wiaziemskij z opricznikami podjeżdża pod nasze wrota! Kniaź mówi, że jest przysłanym od cara!

— Od cara? Wiaziemskij powiada, że jest od cara? Na, roścież wrota! Podajcież złote naczynie z chlebem — solą! Cały dwór na spotkanie posłów carskich!

Przez ten czas odgłos bębna coraz się zbliżał. Ze dwudziestu jeźdźców, a na przedzie Afanasij Iwanycz na pięknym, karym bachmacie, w pełnej zbroi, wjechało wolnym krokiem na podwórze Morozowa.

Kniaź miał na sobie biały atłasowy kaftan. Z pod kołnierza, nisko wykrajanego, wyglądał naszyjnik pereł. Perłowe sprzączki ściągały na kiści szerokie rękawy kaftana, niedbale malinowym atłasowym pasem przewiązanego, atłasowe malinowe szarawary chowały się w żółtych safianowych butach ze srebrnemi podkówkami, i cholewami wyszywanemi perłami. Na kaftan był narzucony lekki złocisty szal, spięty na piersiach brylantową sprzączką. Głowę księcia przykrywała biała, z drogiej materyi czapeczka z giętkiem brylantowem piórem, które się za najmniejszem poruszeniem trzęsło, igrając z promieniami słonecznemi. Czarne włosy Afanasja Iwanowicza spadały z pod czapki na jego krótką, kędzierzawą brodę. Od małego wąsa padał cień na górną jego wargę. Figurę miał zgrabną, minę dziarską. Sam książę był młody i wesół.

Zgodnie z przepychem owego czasu, piesi czeladnicy prowadzili za nim w pełnym rynsztunku sześć koni, jednego wronego, jednego bułanego, jednego szpakowatego, a trzy białe jak mleko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRAWIEC CZARNOKSIĘZNIK.

CIEKAWE OPOWIADANIE.

(Ciąg dalszy.)

— Dziękuję ci, dziękuję kochany zięciu, a musisz nim być czy chcesz, czy nie chcesz. Ale musisz się jeszcze przez parę lat rozpatrzyć po świecie, przyuczyć się tego i owego, abyś mi jako zięć królewski nie zrobił wstydu. Do widzenia, do widzenia. Pohulamy sobie na weselu; ale bądź tylko jak dotąd rzetelny, prawdomowny i uczciwy. Pamiętaj o tem, a teraz dalej w drogę! Wkrótce spotkasz człowieka, któremu możesz całkiem zaufać, gdyż on dobrze ci życzy. Z temi słowy zniknęła Walterowa.

Fryc przebudził się w tej chwili i przecierając sobie oczy mówił sam do siebie:

— Co też to się człowiekowi śnić może. Teraz nie wiedział wcale, co miał myśleć o starej Walterowej. Od najwcześniejszej młodości czcił on tego swego anioła stróża, którego podarunki chował jak jakie święte relikwie i o którym z największą tylko wspominał wdzięcznością. Dzisiaj jednak mówiła ona w taki dziwny sposób, nazwała się geniuszem, wspomniała o córce, z którą już od dwustu lat dźwiga srogie przekleństwo. I on właśnie miał ją od tego przekleństwa wybawić, a za to miał być jej zięciem, a co najciekawsze, miał z nią na weselu tańczyć, z nią, która teraz zaledwie przy pomocy kija posuwać się mogła.

Najprzód starał się w siebie wmówić, że śnił tylko, następnie zdawało mu się, że przecież spać nie mógł i że to nie był sen, gdyż widział z jaką radością stara przyjęła suknię. Przecież dawała mu takie dobre nauki.

Będę strarał się tych wszystkich dobrych jej rad słuchać — mówił — i cokolwiek przyjdzie, przyjmę chętnie. Gdy mi się co nie podoba, to przecież mam własną wolę i nikt mnie do niczego nie zmusi. Ja mam zostać księciem! Jaka naiwna stara! A jak się cieszyła suknią! Ale czy ją dałem rzeczywiście? Ależ nie, to mi się tylko tak śniło.

A jednak gdy spojrzał na swój tłumoczek, ten był otwarty i sukni w nim nie było.

— Gdzież ja tę suknię właściwie podziałem! — pytał się zaniepokojony. — Przecież to był tylko sen — nic więcej.

Przeszukał tedy jeszcze raz cały tłumoczek, lecz suknia znikła. Zdziwiony całem tem niezwyczajnem zdarzeniem, spakował tłumoczek i puścił się dalej w drogę.

XII.

Po małym kwadransie ujrzał się Fryc na samym szczycie pagórka, a raczej góry, z którego to szczytu czarujący przedstawiał się widok na sąsiednie państwo. Zapatrzył się więc na te u stóp jego rozciągające się sioła i miasta, gdy wtem nagle z pomiędzy krzaków odezwał się wesoły wcale mu nieznany głos:

— Dzień dobry, dzień dobry, rodaku! Gdzież pan tak spieszy, panie Fryc? Zdaje mi się, że się nie mylę, jeżeli Was tak nazywam, gdyż Wy jesteście tym młodym człowiekiem, o którym mi moja władczyni mówiła. Frycem Was nazywała. a i opis jaki mi podała, zgadza się z wami kompletnie.

— Tak — odparł Fryc — nazywam się w istocie tak, a ludzie nazywają mnie małym Frycem.

— No — ciągnął dalej człowiek ów nieznajomy, który na porządnego wyglądał obywatela — co się nie stało, to się jeszcze może stać; z małego Fryca możecie jeszcze

zostać wielkim, ale czy mogę wiedzieć, dokąd właściwie dążycie?

— Co do tego, to jeszcze wcale nie jestem zdecydowany — odparł zapytany. — Widzicie, oto ta wioska tak uroczo wśród sadów położona nęci mnie do siebie, ale z drugiej strony tamto wielkie miasto z swoimi wieżami, murami i fabrycznemi kominami wskazuje, że lud tam musi być czynny i że tam mógłbym się niejednego douczyć. Poradźcie mi więc, gdzie mam się udać?

— Macie słuszość — rzekł nieznajomy. — Pobyt dla tak chciwego wiedzy młodzieńca, jak wy, w mieście jest daleko korzystniejszy, niż ciche, jednostajne życie wiejskie. Dla tego radzę wam, chodźcie ze mną. Możecie razem ze mną mieszkać; znajdzie się pewnie dla was pokój gościnny i skromny posiłek. — O tem nie wątpię — odparł Fryc z zakłopotaniem — ale... — Obawiacie się — przerwał nieznajomy — że nie będziecie mieli dość pieniędzy na utrzymanie; ale co do tego, to się nie bójcie. Ja już nieraz miałem u siebie młodych ludzi, tych mianowicie, których mi moja pani poleciła. Wy właśnie należycie do tych i umyślnie wyszedłem na Wasze spotkanie. Ta pani jest bardzo bogata, a do tego wasza krewna.

— Krewna? — zapytał Fryc. — W domu nigdy mi rodzice o tem nie mówili, bym miał bogatych krewnych.

Nieznajomy podobał się Frycowi i dla tego tenże nie wachał się pójść z nim do miasta i przyjąć u niego gościny na jakiś czas z polecenia bogatej nieznajomej krewnej.

Ten — jakiś czas — trwał jednak całe dwa lata; Fryc spędził go bardzo przyjemnie. Nie tylko bowiem, że Fryc żył bardzo wygodnie i podobno nigdy jeszcze nie znajdował się w tak świetnem położeniu, lecz mógł się jeszcze kształcić w tem, czego mu nie dostawało. Pan Wiernasz oprowadzał go po spacerach, robił z nim różne wycieczki po za miasto, w okolice i w góry, gdzie mógł podziwiać piękną naturę, lub pokazywał mu wszelkie osobliwości miasta, jako to archiwa, muzea, fabryki i zakłady różnego rodzaju.

Wszędzie też, gdziekolwiek byli pouczał go pan Wiernasz gruntownie w wszystkiem i tak przekonywająco, że Fryc z przyjemnością słuchał swego niby opiekuna i powiększał tym sposobem zasób swojej wiedzy.

Kiedy uprzejmy gospodarz był zajęty rachunkami i pisemnemi sprawozdaniami dla swojej pani przygotowanymi, Fryc prosił go, by i jego w tym względzie nieco pouczyć raczył. Przy swojej pilności i gorliwości postąpił w tej mierze tak daleko, że wkrótce mógł mu już być pomocnym, z czego i nauczyciel i sam uczeń mocno się cieszył. W końcu pouczał go pan Wiernasz o ustawach państwa, o obowiązkach społecznych, o powinnościach panującego i o powinnościach podwładnych względem tegoż. W krótce młodzieniec nabył takiego wykształcenia, jakiego inni pomimo długoletniej nauki i mozołów osiągnąćby nie byli w stanie.

Kształcąc się moralnie nie zapominał nasz Fryc i o ćwiczeniach ciała. Często jeździł, fechtował, ćwiczył się w robieniu bronią, a wskutek tego jak też i wskutek częstego przebywania na świeżem powietrzu organizm jego nadzwyczaj się rozwijał. Krótko, w dwóch latach, Fryc zmienił się do niepoznania i z trudnością można było w kształtnym, dorodnym, czerstwym młodzieńcu poznać małego słabowitego czeladnika krawieckiego.

XIII.

Nie długo jednak trwało to szczęście. Zaszedł bowiem wypadek, który miał zaćmić przyjaźń mistrza i ucznia dotychczas tak pięknie kwitnącą. Bogata chlebodawczyni pana Wiernasza posłała mu młodzieńca z tem poleceniem, by odtąd był dlań tym, czym był dla Fryca. Młody ów człowiek, imieniem Bertram dostał więc osobny pokój, stół zaś miał wspólny z Frycem i Wiernaszem, jako i uczestniczył im zawsze we wszystkich naukowych wycieczkach.

Jednego razu przechodzili ulicą i wstąpili do sklepu, gdzie Fryc kupił sobie jakąś drobnostkę. Chcąc zapłacić wyciągnął z kieszeni talara i podając go kupcowi rzekł do swego towarzysza i nauczyciela: Oto już ostatni talar z tych, które niegdyś własną zarobiłem pracą.

Kupiec wziąwszy talara, zważył go na ręce, oglądnął go i zwrócił zdziwionemu Frycowi z zapytaniem:

— Panie! Czy nie macie innych pieniędzy, gdyż tego talara przyjąć nie mogę.

— Ah! — odparł Fryc. — A to ciekawe, żeby w takim sklepie nie było tyle zdawkowej monety, by można zmienić talara

— Na drobnych nam nie zbywa — odparł kupiec — ale nie możecie panie przypuszczać, bym miał brać fałszywego talara. Tak, ta moneta jest fałszywa i właściwie powinienbym donieść o tem władzy, że puszczacie w obieg fałszywą monetę. Lecz o to wcale was posądzać nie myślę, gdyż jestem przekonany, że i was oszukano.

— No człowiek, który mi dał te pieniądze, pewnie mnie nie chciał oszukać — odpowiedział Fryc i zwróciwszy się do pana Wiernasza w grzecznych słowach poprosił go, by zapłacił za rzecz nabytą.

Kupiec podał tedy Frycowi fałszywego talara, lecz tenże nie przyjął go i rzekł: Zrób z nim to, co kupcy w takim razie zwykle robią. Gdy się w ich ręce dostanie fałszywa moneta, a nie znają fałszerza, albo jeżeli nie chcą robić z tego prawnego użytku, wtedy cofają go z obiegu przybijając go gwoździem do stołu. Kupiec usłuchał dobrej rady Fryca i zaraz też przybił fałszywego talara na stole.

Gdy obaj młodzieńcy z panem Wiernaszem znaleźli się na ulicy, Bertram zapytał z ironicznym uśmiechem Fryca:

— Dzieciaku! Czemuż nie wziąłeś talara? Kiedyś ty mógł go wziąść za dobrego, to i kto inny byłby go również przyjął. Nie wszyscy kupcy przecież rozumieją się tak dobrze na złocie, jak ten. A mógłby był talar przejść jeszcze przez wiele rąk, stempel wyglądał bowiem jak prawdziwy, a to przecież daje istotną wartość monecie.

— Tylko pozornie — odparł Fryc. — Kamień, który podobny jest do bochenka chleba, nie ma jednak jeszcze jego wartości, gdyż nie można go jeść, ani nim się pożywi. Powinniśmy kierować się prawdą, a nie pozorami, bo kto na ostatnie tylko zważa, ten jest u mnie kłamcą i obłudnikiem. Tą odpowiedzią uczuł się Bertram obrażony i dość niegrzecznie odciął się Frycowi. Również i względem pana Wiernasza tak dalece się zapomniał, że tenże oświadczył mu, iż żałuje tego, że go przyjął do swego domu i gdyby to było możebnem, natychmiast zerwałby z krewnymi jego w tej mierze zawarty układ.

Fryc pamiętny słów swojej opiekunki, która mu powiedziała: Nie mieszkaj nigdy z kłamcą i obłudnikiem, postanowił natychmiast opuścić kochanego swego mistrza i gospodarza, byle tylko nie stykać się więcej z przewrotnym Bertramem.

Aczkolwiek trudno przychodziło Wiernaszowi rozłączyć się z wdzięcznym swoim uczniem, jednak uznał za stosowne postanowienie Fryca; ze łzami wdzięczności pożegnał się z Wiernaszem, który go na drogę dostatecznie zaopatrzył w pieniądze, twierdząc, iż czyni to z polecenia swojej pani!

XIV.

Bez żadnego planu opuścił Fryc miasto tą bramą, którą go doń niegdyś wprowadził pan Wiernasz. Za godzinę ujrzał się na tej samej górze i na tem samem miejscu, zkąd najpierw ujrzał miasto i gdzie spotkał pana Wiernasza. Skorciło go tedy pójść i pod ów buk, gdzie mu przed dwoma laty takie dziwne śniły się rzeczy. Po drodze spostrzegł, że obok rumowiska, tam gdzie zakopał nożyczki i naparstek, rósł teraz wspaniały krzaczek o długich liściach czerwonych i pięknych dzwonkowatych kwiateczkach.

Gdy Fryc stanął w końcu pod rozłożystym bukiem, położył się znowu na równej, świeżej, zielonej trawie i usnął ukołysany jednostajnym szumem poruszanych wiatrem liści. I znowu ujrzał starą Walterową, która przybliżywszy się doń w tym samym podartym płaszczu zapytała go:

— Więc znowu tu jesteś? No, do tej pory dzielnie się spisywałeś i widzę, że będę mogła zrzucić już te podarte łachmany i pohulać z tobą na weselu. Wszystko dotychczas poszło po mojej myśli. Teraz ale nie wracaj już więcej dawną drogą, lecz idź na północ na prawo, a zajdziesz do kraju Utopii. Gdy się tam dostaniesz, niejedna spotka

cię nieprzyjemność i przeszkoda, ale ty sobie nic z tego nie rób, a przedewszystkiem trzymaj się prostej drogi i mów zawsze prawdę, gdyż prawdą zajdzie człowiek zawsze najdalej. Ale teraz chodź i zobacz moją chatę leśną.

Rzekłszy to, ujęła go za rękę i leciała z nim jak młoda dzieweczka przez lasy, góry, doliny i pola; lecieli oboje tak długo, aż w końcu zatrzymali się w gęstym borze. W największej gęstwinie stała mała, waląca się chatka.

— Spojrzyjno przez tę szparę — rzekła stara — ale nie rób hałasu, gdyż ona nie powinna wiedzieć, że ty ją widzisz. Posłuszny jej woli spojrzał do szpary, a stara go znowu zapytała: No i cóżeś zobaczył?

Widzę prześliczną dziewicę, która zajęta jest szyciem sukni a na palcu ma kosztowny pierścień z wielkim dyamentem.

— Tak — odparła stara — teraz będziesz pamiętał o mojej Herminie. Rzekłszy to zaprowadziła go znowu na dawne miejsce.

Silniejszy powiew wiatru zbudził Fryca i przerwał te jego nadzwyczajne sny. Przyszedłszy zupełnie do przytomności przypomniał sobie dobrze cały sen, a najbardziej utkwił mu w pamięci obraz pięknej młodej dziewczyny.

Fryc ruszywszy w dalszą drogę, trzymał się ciągle wskazówek Walterowej i szedł ciągle w kierunku północnym. Kogokolwiek po drodze zapytał, gdzie leży kraj Utopia, to w odpowiedzi dostał szyderczy uśmiech lub miano waryata. To wszystko jednak wcale go nie zraziło; przecież ta podróż kiedyś się skończy, bo stara kłamać nie mogła — myślał sobie Fryc i szedł dzień i noc bez wytchnienia do nieznanego tajemniczego celu.

Jednego dnia spotkał jakiegoś sędziwego starca, którego zapytał, czy też on właściwą drogą idzie do kraju Utopii i dla czego to ludzie nic mu w tej mierze nie mogą lub nie chcą powiedzieć. — Jesteś na dobrej drodze — odparł zapytany — ale radziłbym ci młodzieńcze, byś się lepiej wrócił i nie szedł do tego przeklętego kraju. Już więcej jak sto lat zawisła nad nim klątwa straszna chociaż sprawiedliwa. Oto wszyscy oddali się zbytkom i strojom tak dalece, że król widząc, iż państwo jego chyli się ku upadkowi, ze zgryzoty poszedł przedwcześnie do mogiły. Za karę więc nad całym krajem zawisła klątwa potężnego króla geniuszów. Nikt ztamtąd wyjść nie może, a nie słyszałem by obcy raz się tam dostawszy, kiedykolwiek powrócił. Wierz mi młodzieńcze, że idąc tam narażasz młode swoje życie. Co za sprawa zmusza cię iść do kraju, gdzie wszystko prawie zakamieniało i już od stu lat w tym stanie się znajduje, gdy przeciwnie inne kraje postępują ustawicznie na drodze wynalazków, sztuki i nauki. Mieszkańców tego nieszczęśliwego państwa poznacie po długim surducie, który u góry tylko jeden ma otwór, przez który wkłada się głowę i dwa otwory po bokach, którędy wsuwa się ręce.

— Jeżeli tak jest — odparł Fryc — to rzeczywiście nie wesołe tam życie. Tymczasem mam sobie polecone, bym się tam udał, a więc polecenia dopełnić muszę.

— A więc niech cię niebo ma w swojej opiece, — rzekł stary i pożegnał odważnego młodzieńca.

XV.

Po trzech czy czterech dniach podróży ujrzał się Fryc u granic państwa Utopii. Pierwszym miastem na granicy było właśnie miasto stołeczne tegoż samego nazwiska, co państwo. Żelazne bramy były zamknięte.

— Otworzyć! — zawołał Fryc odważnie i wnet wyszło dwóch olbrzymów z długiemi pikami z zapytaniem:

— Czego chcesz?

— Chcę wejść — odparł Fryc.

— Co za sprawa sprowadza cię do nas? — brzmiało dalsze zapytanie.

— To powiem naczelnikowi, przed którego macie mnie zaprowadzić.

— Oho! A jaki to panicz zuchwały! — zawołali obydwaj stróże — przed naczelnika bylibyśmy cię i tak zaprowadzili. — Otworzywszy bramę wzięli go między siebie i poprowadzili wprost przed naczelnika.

— Któż to? — zapytał naczelnik mierząc więźnia od stóp do głów.

— To jakiś zuchwały chłopiec, który

nam nie chciał nic odpowiedzieć, lecz tylko na was się powoływał — rzekł jeden ze stróżów. Teraz naczelnik odprawiwszy obydwóch stróżów, zapytał Fryca ostrym tonem:

— Czyś nie wiedział o tem, że tu nikomu wejść nie wolno?

— Nie, nic o tem nie wiedziałem i trudno by mi było nawet temu uwierzyć, — odrzekł Fryc niezmięszany.

— Jeżeli nikomu wchodzić nie wolno, to radbym wiedzieć, dla czego otwarto mi bramy. Gdyby brama była zamknięta, to przecież niktby nie wszedł.

— Nie zła odpowiedź — zaśmiał się naczelnik. — Powiedzże mi, co cię skłoniło do tego, żeś tu przyszedł?

— Nie wiem jakby ci to dobrze na to odpowiedzieć — odpowiedział Fryc.

— Nie przyszedłem z prostej ciekawości w celu zbadania waszego kraju, ani dla tego, żebym chciał się u was czegoś nauczyć. Sprowadziło mnie tu polecenie i rozkaz starej jakiejś niewiasty, którą w nędznych łachmanach od młodości dość często spotykałem, a która mnie zawsze do dobrego nakłaniała i od czasu do czasu obdarzała jakim podarunkiem. Z jej to polecenia przybyłem do tego dziwnego kraju.

Naczelnik wsparłszy czoło na dłoni, zamyślił się głęboko.

— Czy wiesz jak się nazywa ta żebraczka? — zapytał potem Fryca.

— U nas w domu nazywano ją tylko starą Walterową. Podczas snu powiedziała mi raz, że jest córką geniusza i że była królową, która za karę musi teraz chodzić od wsi do wsi, od miasta do miasta. Swego imienia sama mi nie wymieniła, ale raz pokazała mi w leśnej chacie swoją urodziwą córkę, która ma się nazywać Hermina.

— To szczególne, to niepojęte, — rzekł naczelnik. Następnie zwróciwszy się do Fryca zapytał go uroczystym tonem: — Ale, czyś ty nie skłamał?

— Kłamać nie umiem! — zawołał prawie rozgniewany Fryc. — Nie kłamać, być rzetelnym, uczciwym i wdzięcznym, oto nauki, których mi często udzielała poczciwa Walterowa.

— Z tego wszystkiego widzę — rzekł naczelnik — że istotnie mówiłeś mi prawdę. Słuchaj synu: gdybym ja miał nad tobą wyrzec wyrok, to musiałbym cię skazać na wrzucenie do klatki z niedźwiedziami, któreby cię niechybnie rozszarpały. Takie tu prawo, i wszyscy cudzoziemcy musieli ponieść okrutną śmierć. My wszyscy stoimy tu pod władzą potężnego króla geniuszów, który zaklął całe państwo i wszystkich jego mieszkańców. Co dziesięć lat zjawia się on tu w wielkiej sali królewskiej i ostre odprawia sądy. Przy tej sposobności przybywa tu i stara Walterowa i przedstawia mu swoje prośby. Poleciła ona jego łasce już niejednego młodzieńca, lecz on wie najskrytsze rzeczy i nie znalazł dotychczas żadnego, któryby w życiu swojem ani razu nie skłamał, był zawsze rzetelny, prawdomowny, uczciwy i wdzięczny; a tylko taki mógłby uwolnić nasze państwo od zaklęcia, jakie na niem ciąży. Każdy dźwigał na sobie jakąś plamę, którą król geniuszów natychmiast odkrył. Jeżeli chcesz poddać się jego sądom, to ja się z moim wyrokiem wstrzymam do jutra. Jutro bowiem jest właśnie dzień, w którym on się tu po upływie dziesięciu lat zjawia.

— A więc niech on o mnie stanowi! — odrzekł Fryc. — Ja się nie lękam jego sądów; prawda musi się ostać.

Naczelnik polecił uprzejmie swego więźnia nowemu służącemu z tem poleceniem, by go jutro przed króla geniuszów na sądy przyprowadził.

XVI.

Dobre sumienie jest najlepszym wezgłowiem, mówi przysłowie. To też Fryc spał smacznie i dopiero późno obudził go stróż więzienny, który mu przyniósł śniadanie; postawiwszy je na stole, począł go żałować, że taki młody chłopiec, któremu z twarzy patrzy na uczciwość i odwaga, będzie musiał jutro zakończyć życie pod kłami i pazurami srogich niedźwiedzi.

— Jestem odważny — odpowiedział Fryc — ponieważ nie poczuwam się do żadnej winy. O której godzinie zjawi się tu król geniuszów?

— A cóż Wam na tem zależy, że tak pragniecie zabrać z nim znajomość? — zapytał stróż — jak go zobaczycie, to pewnie stracicie odwagę. Ale zbierajcie się tylko prędko. Gdy słońce zaświeci w oknach królewskiego pałacu to i król sam wnet się zjawi, a nam już najwyższy czas udać się do sali audyencyonalnej, gdyż potężny władzca nie lubi na nikogo czekać.

Odważnie udał się Fryc ze swoim towarzyszem do pałacu i usiadł na ławie oskarzonych. W tem nagle dał się słyszeć przerażający grzmot, który trwał kilka minut. Wówczas zjawił się poważny siwobrody starzec i rzekł poważnie:

— Czy jest tu kto, ktoby miał królowi przedłożyć jaką prośbę lub skargę? Ale ostrzegam, by nikt nie przedkładał bezzasadnej prośby lub skargi.

Wtedy wystąpiła z pośród grona obecnych stara Walterowa i rzuciła się przed nim na oblicze. Na jego skinienie podniosła się, a on zapytał:

— Czego chcesz?

— Potężny królu, stryju kochany — brzmiała odpowiedź — oto ośmielam się stawić się przed tobą z prośbą: idzie tu o zdjęcie klątwy, która ciąży nad całym krajem. Przyrzekłeś mi, że gdy Ci przedstawię młodzieńca, który nigdy w życiu nie skłamał, we wszystkiem był uczciwy, wierny i wdzięczny, to wówczas zdejmiesz klątwę, a jedynaczka moja Hermina będzie uznana za prawomocną spadkobierczynią tego państwa.

— Na te słowa przystąpiła i córka i rzuciła się również przed królem na oblicze. Wszyscy obecni zdumieli się na widok pięknego, niewinnego oblicza Herminy.

— Spełnię dane przyrzeczenie — rzekł król uroczyście. — Lecz strzeż się, byś się znowu nie oszukała i nie przedstawiła mi jakiego niegodnego młodzieńca. Gdzie twój wychowaniec? Niech przystąpi! Natychmiast podniosła się Walterowa i ująwszy Fryca za rękę przyprowadziła go przed króla.

Król zmierzył go badawczym wzrokiem od stóp do głowy i zapytał groźnie: — Nie jesteś ty jakim oszustem, który oszukał swą opiekunkę? Jeżeli przekonany jesteś, żeś czysty, to spojrzyj mi śmiało w oczy i odpowiadaj odważnie: — Czyś jeszcze nigdy nie skłamał?

Fryc spojrzał mu oko w oko i odrzekł niezmięszany:

— Walterowa uczyła mnie od dzieciństwa, bym zawsze był prawdomownym. Słuchałem jej i nie mogę powiedzieć, bym kiedykolwiek z własną chęcią i świadomością popełnił kłamstwo.

Spojrzawszy nań łagodniejszym już wzrokiem, badał król dalej:

— A jakże stoi sprawa z uczciwością? Nie oszukałeś kogo kiedy?

— Oszustwem i nieprawością brzydziłem się tak dalece, że nie chciałem nawet mieszkać z kłamcą pod jednym dachem.

— Jakie masz na to dowody?

Dowodów nie mam żadnych, ale gdyby tu był pan Wiernasz, to mógłby poświadczyć, że choć mi się serce z żalu krajało, a jednak opuściłem go, byłem nie mieszkał z kłamcą pod jednym dachem.

— Wiernasz jest tu! — rzekła Walterowa. — Przystąp i daj świadectwo.

I oto Wiernasz wystąpił z grona otaczających króla i poświadczył słowa Fryca.

— A jak możesz poświadczyć, żeś był zawsze wierny i wdzięczny? brzmiało dalsze zapytanie króla.

— Ach, zawołała Walterowa, — zobaczcie sami. — Mówiąc to zrzuciła podarty płaszcz i ukazując niebieską strojną suknię w którą była ubrana: — Oto on się nademną ulitował, rzekła, — i z czystej wdzięczności sam będąc ubogim, sprawił mi tę wspaniałą suknię, którą tak długo ze sobą nosił, póki mnie nie znalazł i sukni mi nie wręczył.

Wtedy podniósł się srogi i ponury dotąd król ze swego tronu i zawołał z błogim uśmiechem:

— Przeznaczenie losu spełniło się; klątwa w tej chwili jest z Was zdjęta.

Nagle zmieniło się wszystko. Ponury smutek i milczenie, jakie dotychczas zalegało salę, zamieniło się na radość i szczęście, obecni nie byli już więcej ubrani w swoje brzydkie surduty i suknie, lecz postrojeni wspaniale cieszyli się wszyscy i winszowali sobie nawzajem.

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Stach.

Ani by.

Dorota.

Choć ras tylko!

Stach.

Mam zdradzać dziewcynę?

Dorota.

Mój Stasiu!

(Chwyta go za szyję).

Stach *(woła głośno ku karczmie).*

Bartłomieju!

Dorota *(zatykając mu usta).*

Nie róbze hałasu.

Stach.

Uciekajwa, bo oto ktoś nadchodzi z lasu,
Mógłby nas tu podsłuchać albo dojzeć okiem.

(Ucieka).

Dorota.

Zjes mi djabła bestyjo! wyjdzie ci to bokiem.

(Odchodzi).

SPRAWA VII.

(Bardos sam wchodzi ubogo ubrany, nogi łykiem okręcone, z teką na ramieniu: torba jedna z książkami, druga z machiną elektryczną, kałamarz wielki cynowy przewieszony przez ramię, schodzi z góry po lewej stronie podskakując i śpiewa następującą piosnkę).

ŚPIEWKA.

Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biedzie.
Lecz rozum górę bierze,
Tem sobie życie słodzę,
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.

Nie mądry, kto wśród drogi,
Z przestrachu traci męstwo,
Im srozsze ciernie, głogi,
Tem milsze jest zwycięstwo.
Na górze mieszka Sława,
A szczęście jeszcze wyżej,
Lecz gdy chęć nie ustawa,
Wnet się człek do nich zbliży.

Im srożej Los nas nęka,
Tem mężniej stać mu trzeba;
Kto podle przed nim klęka,
Ten nie wart względów Nieba.
Mnie, chociaż głód dojmuje,
Lecz duszy mej nie szkodzi,
Śpiewaniem biedę truję,
Wesołość troski słodzi.

Prawda, że to wesołość i smutek osładza,
Jednakże nie ze wszystkiem brzuchowi dogadza,
Widziałem dobrze z tej góry wysokiej,
Że tu wesołe odprawiano skoki.
Dalejże i ja w pląsy, nie źle się skakało,
Ale też teraz bardziej jeść mi się zachciało.
Oj! jadłżebym, dwie mile uszedłszy o głodzie;
Choćbym gdzie stanął w gospodzie,

Cóż? ani grosza nie mam.

(Zbliża się do karczmy).

Ach, jakież tu smaczne
Rozchodzą się w tej karczmie zapachy kołaczne,
Coś, niby gęś, i prosię, i pieczone cielę,
Musi tu być wesele.
Gdyby się tam jak wkręcić, ale jak, to sztuka.
Wstydzę się niepomału, w tak liczną gościnę,
Jak *pauper studiosus*, iść po żebraninę.
Jeszcze kto wypchnie, wyfuka,
Nie wiele teraz popłaca nauka!
Oj! okpiłem się srodze, myśląc, że talenta
Wykierują mnie kiedyś biednego studenta,
Że dadzą sławę i dobre mienie,
Widzę, że próżne było moje omamienie.
Djabła wskórasz i z rozumem,
Kiedy zaćmienie w kieszeni,
Gdy się potrzeby zewsząd cisną tłumem,
W ten czas i rozum się zmieni.
Największy mędrzec zgłupieje,
Kiedy ze dwa dni nic nie je.

(Patrzy na tekę).

I na cóż mi się zdacie,
Wy szumni szczęścia ludzkiego malarze?
Kiedy go tylko w przywidzianej marze
Ludziom wystawiacie.
Mamże was jeszcze dźwigać, kiedy sam zgłodniały
Jak trzcina chwieje się cały?

(Rzuca książki).

Precz odemnie przeklęte bestye!
Figury, Tropy, Sylogizmy, Chryje,
Niech was djabli biorą z teką!
Precz i ty Panie Seneko! —

(Rzuca inne książki).

Panie Demostenesie i Panie Platonie,
I ty tak wyszczekany djabli Cyceronie,
A wy najbardziej, wy, gałgańskie dusze,
Owidiusze i Wirgiliusze!
I wy miłostki Safy, ody Horacego,
Coście mnie tylko nauczyły tego
Że sam swoim językiem nie władam,
I choć nie chcę, wierszem gadam.
Cóż mi z tego żem Rektor, Poeta, Fizykus,
Kiedym goły jak Bykus?
Za te wszystkie wasze baśnie,
Niech was jasny piorun trzaśnie!
Raczej się głupim, podłym lub filutem zrobić,
Więcej tem można zarobić.
Ten, kto się z wami pobrata,
Nie zda się dzisiaj do świata,
I głodu się nacierpi, i tak w biedę wlezie,
Że mu nie jeden robak dogryzie —
O! jak jest dziwna życia ludzkiego odmiana,
Kiedym się nie chciał z młodu uczyć, jak barana
Wyciągali na ławie, siekli, gdyby bydle,
Dziś kiedy wszystko w głowie, szło mi jak po mydle,
Kiedy nawet samego profesora zdanie
Na publicznej dyspucie zbiłem, przez udanie,
Przez plotki, tak mię gryźli, tak mi buty szyli,
Że nareszcie jak łotra ze szkół wypędzili.

(Patrząc na elektrykę).

Oj, ty to elektryko, ty jesteś jedyną
Nieszczęścia mego przyczyną!
Z ciebie to, ta dysputa była wtenczas dana.
Bodaj cię!... ale masz szczęście żeś szklana,
Schowam cię, może jeszcze wlazłszy między gbury,
Jak ich zacznę zabawiać twojemi figlasy,
Dostanę kawał kiełbasy.
Żeby tylko na chwilę wyszedł tu z nich który.
Oto idą, słuchajmy, co to są za jedni.

(Chowa się).

SPRAWA VIII.

Staś, Basia i Bardos ukryty.

Staś.

Ach Basiu moja dusko, jakześmy my biedni.
Nic macochy nie wzrusy, tak się wej uparła

Basia.

Ani by, gdyby jędza jaka się rozzarła,
Ani se gadać nie da. — Alem uwazała,
Ze wej djabelnie ocy na cię psewracała,
Cy ona zaś niecnota nie kocha się w tobie

(Ciąg dalszy nastąpi.)